

MARIUSZ BYLIŃSKI

CZERWONA WODA

OPOWIEŚĆ WAKACYJNA



Mariusz Byliński

**CZERWONA
WODA**

OPOWIEŚĆ WAKACYJNA

*Wydawnictwo Psychoskóp
Konin 2017*

Mariusz Byliński

„Czerwona woda. Opowieść wakacyjna”

Copyright © by **Mariusz Byliński**, 2017

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o. o.**
2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: **Kamil Skitek**

Projekt okładki: **Print Group Sp. z o.o.**

Redakcja i korekta: **Ilona Turkowska**

ISBN: 978-83-7900-797-4

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

email: wydawnictwo@psychoskok.pl

*Wyobraźnia, która wypełnia pustkę, jest ze swej
natury kłamliwa.*

Simone Weil

*Starzec powiedział: „Spędziłem dwadzieścia lat,
walcząc z jedną myślą, by wszystkich ludzi widzieć jako
jednego człowieka”.*

z Apoftegmatów Ojców Pustyni

DZIEŃ PIERWSZY

TANI

Ma na imię Tani. Tak go nazywamy. Tani nie potrafi mówić. z jego ust nigdy nie padło żadne słowo. Nie przeszkadza mu to. Nam także.

– Dobrze, że jesteście. Smutno mi.

– Jedź do doliny, Tani.

– Nie mogę. Motor się zepsuł. Petros obiecał, że przywiezie nowe koło.

– Był u ciebie?

– Był. Jak zwykle przywiózł ze sobą całą stertę gazet. Siedział na tarasie i czytał. Zupełnie zapomniał o kasztanach.

– Nie podlał kasztanowców?

– Podlał, ale trzy razy musiałem przypominać mu o pompie. i o kole dla mnie też zapomniał.

– Dlatego jesteś smutny?

– Nie, nie dlatego. To przez wiatr. Znowu nawieje chmur, tych najgorszych, ciężkich jak mokry piach. Będą walczyć ze słońcem, a potem pękną i znowu ich zobaczę.

– Kogo, Tani?

– Naszych i obcych, ich wszystkich, zobaczę, jak wychodzą z doliny, jak idą w chmury. Znikną, a ja zostanę sam.

– My zobaczymy to samo, Tani, ale nie jesteśmy smutni. Nie warto się smucić. Nie myśl o tym, co będzie. Nie warto, naprawdę nie warto, Tani.

CIE NIE

Petros siedzi w ciężarówce i patrzy, jak wiatr ciągnie za sobą wszystko, co tylko zdoła poderwać z ziemi: foliowe torby, wypłowiałe papiery, suche liście wirują w kłębach rdzawego pyłu, unoszą się wysoko aż po korony platanów, to znowu spadają na sam środek ulicy i wloką się po niej bezładnie. Ciężarówka dygocze, a jemu wydaje się, że za moment wiatr wyrwie boczne lusterka, zerwie maskę i pogruchocze silnik.

Ulica jest zupełnie pusta. Wszyscy pochowali się, gdzie tylko mogli: w cukierni, piekarni i sklepie Dimitrosa. Stoją za witrynami i patrzą na nawałnicę. Petros patrzy na nich. Przez zakurzone szyby wyglądają jak cienie o zmierzchu. Poznaje te cienie po ruchach: Dimitros siedzi przy kasie, jego syn Niki pociąga z butelki piwo, Jorgos opowiada coś i wymachuje rękami, a mała dziewczynka, która mieszka u niego pod czwórką, bawi się z kotkiem.

Wiatr nie ustaje. z każdą chwilą robi się coraz ciemniej. Cienie powoli zlewają się z szarzącym powietrzem. w ostatnich smugach światła Petros widzi, jak Niki wybiega ze sklepu i próbuje przykryć plandeką skrzynki z owocami. Tkanina napełniona wiatrem wybrzusza się i zaczyna trzepotać jak żagiel. Chłopak zapiera się i chce zagarnąć ją do siebie, ale wiatr jest silniejszy, plandeka odrywa się, a potem wznosi wyżej i wyżej, aż wreszcie znika w mroku.

– Głupiec, chciwy głupiec. Chce walczyć z wichurą, szkoda mu kilku skrzynek pomidorów, które i tak do jutra zmiękną i będzie je mógł sprzedać kozom, nie ludziom. Parszywy wiatr!

Petros szarpie klamkę. Drzwi ciężarówki ani drgną. Przekręca gałkę radia, ale z głośników wydobywają się jedynie szумы i skrzeki. Zapala światło w kabinie i sięga po gazety walające się na sąsiednim siedzeniu. Na maskę spadają pierwsze krople deszczu.

KOLCZYK

Kiedy mąż wiezie ją na dworzec, myślami jest jeszcze w domu, w sypialni. Podczas pakowania zauważyła brak ulubionego kolczyka. Było to małe kółko, z którego zwisały na filigranowych łańcuszkach, wycięte ze srebrnej blaszki – krzyżyk i półksiężyc. Nie zakładała go nigdy. Nosila ten drobiazg schowany w bocznej kieszonce torebki. Chciała mieć go przy sobie, aby w każdej chwili móc go dotknąć, poobracać między palcami i odłożyć na miejsce. Tak przypominała sobie o swojej samotności, którą podobnie jak kolczyk ukrywała przed oczami najbliższych. Kolczyk chowała też z innego powodu, był prezentem od kochanka, przypomnieniem małżeńskiej zdrady.

Zdarzenie miało miejsce dziesięć lat temu i odbyło się w najbardziej pospolitych okolicznościach – podczas podróży służbowej. Jej kochanek był nieciekawym nauczycielem gimnastyki, zwykłym prowincjonalnym wuefistą. Zapamiętała jego mocno kędzierzawe czarne włosy i moment, w którym wręczył jej kolczyk. Zrobił to bez wdzięku – schodzili po wspólnie spędzonej nocy na śniadanie, schody górskiego pensjonatu niemiłosiernie trzeszczały, wydawało się jej, że pobudzą wszystkich i ich jednodniowy romans stanie się poranną sensacją omawianą przy wszystkich stolikach w jadalni. Ale on nie zwracał na to uwagi. Mówił głośno, dowcipkował. Na półpiętrze chwycił ją za łokcie, pocałował w czoło i wcisnął do garści maleńki przedmiot.

W ten sposób weszła w posiadanie kolczyka. Zupełnie do niej nie pasował. Był mało subtelny, tandetny. Ale zachowała go. Półksiężyc nazwała – nudą, a krzyżyk – rozpaczą. I kiedy chciała odwdziżyć się mężowi zdradą za jego kolejną zdradę, sięgała dyskretnie do torebki. Pomagało niewiele, lecz chwila niechcianego

wspomnienia otrzeźwiała ją, pozwalała obojętnością odpowiedzieć na każde zaczepne męskie spojrzenie.

Tak było do wczoraj. Po dziesięciu latach od przygody z kędzierzawym wuefistą, pierwszy raz złamała się, uległa nastrojowi, poddała się chwilowemu uniesieniu i pozwoliła, aby ono zawładnęło jej losem. Wiedziała, to dawało jej poczucie bezpieczeństwa, że za dwadzieścia godzin wsiądzie w autobus i pojedzie na długi urlop. Będzie jechać sama i będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby zapomnieć.

Pada deszcz. Patrzy, jak wycieraczki przesuwają się po szybie, w prawo, w lewo, w prawo...

– Czas – mówi.

– Zdążysz, zaraz będziemy na miejscu – odpowiada mąż.

– To dobrze.

Odwraca głowę od okna. Próbuje szczegółowo odtworzyć wczorajszy wieczór, ale myśli wyślizgują się, są nieprecyzyjne – pamięta zapachy i kolory, jeszcze czuje na języku miodowy aromat białego wina, które pili w kawiarni.

„Coś mówił. Że nie musi dojeżdżać do pracy? Chyba nie to. Nerwowo ruszał głową. Założył nogę na nogę i drapał się w kostkę. Beżowa skarpetka z brązowym zygzakiem. Światło załamywało się na krańcu stolika”.

Stają na placu przed dworcem. Przed autobusem, wokół młodej, ostrzyżonej po męsku pilotki, gromadzą się podróżni. Zauważa, że mimo chłodu i deszczu dziewczyna ma na nogach sandały, toporne, na grubych podszwach.

Mąż otwiera jej drzwi i wyciąga z bagażnika walizkę. Spoglądają na siebie. On kładzie rękę na jej ramieniu i pochyla się, aby pocałować ją w policzek. Nadstawia mu czoło.

– Słońca ci nie życzę, Barbaro, będziesz miała go pod dostatkiem.

Chwyta ją za rękę, rozwiera jej zaciśniętą dłoń i kładzie na niej srebrny półksiężyc spleciony z krzyżykiem.

– Leżał w łazience – mówi.

KSIEŻYC

– Co ty, Petros, nie pamiętasz drogi do domu?
a może żona cię wyrzuciła?

Łysa głowa wciska się przez wpół opuszczoną
szybę.

– Prędeż twoja zrobi to z tobą, Aleksij. Dobry
wieczór!

– Nie będę żałował. Dobry, dobry. Po co taskasz
się tym gratem? Nie możesz wziąć nowego wozu?

– Nowy poczeka, aż ten zdechnie.

– Chyba razem z tobą, Petros. a i tego możesz nie
doczekać. Przesuń wóz!

– Jak zechcę.

– Ty znowu to samo. Rusz się. Jadę dopilnować
malowania baru. Śpieszy mi się.

– Co mnie obchodzi twój bar, Aleksij?

– Robotnicy czekają, Petros. Mój zysk to twój
zysk. Zawsze ci to mówię, ale ty nie słuchasz. Ruszaj!

Petros odwraca się i przekręca kluczyk
w stacyjce. Rozrusznik kręci dobrą chwilę i silnik zapala.

Ciężarówka rusza, ślizgając się na mokrych liściach. Mija wieś i skręca na serpentynę wspinającą się w góry. Księżyc jest już wysoko. Droga lśni, jakby była obłana oliwą, tylko miejscami znad asfaltu unoszą się ruchliwe obłoczki pary. Petros omija je slalomem i gwałtownie skręca w lewo.

– Teraz całą noc będę taplał się w błocku – syczy.
– Dwa kroki wte i wewte, jak osioł, którego nawet nie trzeba przywiązywać powrozem. Cholerny deszcz! Świat tonie w głupocie. Jak tak dalej pójdzie, to zalegną się tu ropuchy.

Petros zawsze był dziwny. Wygięty ptasi nos, błyszczące wysokie czoło okolone resztkami włosów, siwy cieniutki wąs nad wąskimi wargami – to Petros. Chude, kościste nogi, nad którymi chybocze drobny korpus – to też Petros. Co może być w nim dziwnego? Zwyczajny chłop z doliny, zniknie, gdy przyjdzie jego czas. I jego złość, gorszy kawałek Petrosa, który pomieścił się w okolicy szczęk, zniknie wraz z nim.

Teraz zaciska zęby, żuchwa porusza się w zawiasach, policzki pulsują. Naciska z wściekłością na

pedał hamulca, ciężarówka przechyła się na prawą burtę i osiada na krawędzi drogi. Wyskakuje z kabiny, otwiera plandekę i wyciąga szpadel. Szybkimi ruchami okopuje przednie koła, po czym wrzuca pod nie kilka masywnych kamieni i wraca za kierownicę. Po chwili samochód wytacza się z powrotem na drogę i odjeżdża w stronę majaczących w oddali drzew.

Tak, Petros zawsze był dziwny. Pływał na statkach, budował wysokościowce dla szejków naftowych, handlował miodem i oliwą w stolicy i wszędzie gdzie się znalazł, znajdował ludzką głupotę: bezmyślną, hałaśliwą i występłą. Uciekał przed nią z miasta do innego miasta, z wyspy na inną wyspę, z kontynentu na inny kontynent. a ona dzień pod dniem szła za nim jak natrętny towarzysz podróży.

Wreszcie wrócił do doliny i szybko się ożenił. Wziął kobietę pierwszą z brzegu, ani urodziwą, ani brzydką, nie za mądrą, ale wystarczająco chciwą, aby nakłaniała go do pracy w gaju kasztanowców, który wniosła mu w posagu. Głupota, którą napotykał na swej drodze, zamieszkała w jego żonie i każdego poranka

przypominała o swoim istnieniu jej natarczywym jazgotem.

Powinien się przyzwyczać. Powinien okrzepnąć, doglądać dobytku i cieszyć z narodzin córek. Powinien, ale wtedy nie byłby sobą. Nie byłby Petrosiem... Musiał oszaleć... i oszalał. Kompletnie oszalał, gdy do doliny dotarli pierwsi turyści.

Była to para młodych cudzoziemców, którzy pobłądzili w górach. Zeszli do wsi zmęczeni i brudni, dźwigali ze sobą ciężkie plecaki i pogruchotane futerały z gitarami. Dziewczyna miała skręconą kostkę i Petros wziął ich do siebie. Rozbili u niego namiot. Przesypiali w nim całe dni, a nocami przesiadywali z Petrosiem w ogrodzie. Zza płotu dochodziły brzęki gitar i gwar rozmów przerywany wybuchami śmiechu. Nikt nie mógł przypuścić, że z tych radosnych biesiad narodzi się pomysł, który na zawsze odmieni życie Petrosa i nieodwracalnie wpłynie na losy całej doliny.

Cudzoziemcy spakowali swe rzeczy po tygodniu. Petros pożegnał ich z całą rodziną, a gdy tylko zniknęli za pierwszym zakrętem, spojrzął na żonę i rozkazał:

– Przeszukaj wszystkie szuflady.

– Czego chcesz? – zapytała.

– Pieniądzy, tylko pieniędzy, resztę zrobię sam – odparł.

Po siedmiu miesiącach od tamtego zdarzenia posiadłość Petrosa zmieniła się nie do poznania. Na miejscu starej szopy na narzędzia stanął owinięty galerią tarasów, pachnący świeżą farbą budynek z piętnastoma pokojami. Obok Petros postawił kilka drewnianych wiat i urządził przestronny parking. a na ogrodzeniu zawiesił tabliczkę: PENSJONAT „CZERWONA WODA”.

Następnego lata do doliny zaczęli zjeżdżać turyści. Wszyscy pytali o źródło, które tryska przy drodze za rogatkami wsi. Wcześniej nikt nie zwracał na nie uwagi, woda w nim była mętna i miała metaliczny posmak, a teraz okazało się, że ma właściwości lecznicze – pomaga na bóle głowy i na niestrawność, leczy anemię, łagodzi egzemy, byli nawet tacy, którzy twierdzili, że regularne picie ze źródła likwiduje bezpłodność.

Petros triumfował. „CZERWONA WODA” pękała w szwach. Wieczorami goście całymi grupami przesiadywali na tarasach przed pokojami, a on kręcił się wokół nich jak podrażniona dymem pszczoła. Nawet

jego mowa zamieniła się w brzęczenie – uczył się cudzoziemskich języków i przy byle okazji wdawał się w rozmowy z przyjezdnymi: wyjaśniał, doradzał, zachęcał. Słuchali go chętnie, a on z lubością patrzył, jak wchłaniają w siebie sklecone z kilku zdań historyjki o źródle i uśmiech nie schodził mu z ust. a kiedy któregoś wieczora żona przyniosła mu wiadomość, że woda ze źródła uleczyła dziewczynkę z miasteczka z padaczki, tylko skrzywił się i powiedział:

– Powinnaś pić ją dziesięć razy dziennie. Raz na zawsze wyleczy cię z głupoty.

Legenda źródła rozpowszechniała się błyskawicznie. Przez zakurzone uliczki wsi przeciskały się autokary z zagranicznymi rejestracjami, wyrzucając ze swych wnętrz coraz liczniejsze grupy turystów. Nic dziwnego, że inni poszli w ślady Petrosa. Zaczęli budować jeden przez drugiego: PENSJONAT „NOC”, PENSJONAT „APOLLO”, PENSJONAT „DRZEWKO OLIWNE”. Aleka otworzyła piekarnię i cukiernię, Dimitros sklep, na nabrzeżu powstało kilka restauracji, a w okolicach źródła plac zabaw i pole biwakowe. Na końcu przybył z miasteczka Aleksij, właściciel sklepu

jubilerskiego, i wybudował błyszczący od panoramicznych szyb, luksusowy hotel z nocnym klubem, położył wokół niego chodniki i oświetlił je latarniami.

Dolina rozjaśniała. Ale Petros zaczął chodzić chmurny. Niby żył jak dawniej, nadal krzątał się wokół pensjonatu, ale nie było w nim już dawnego zapału. Jego miejsce zajął szorstki upór i skrzętnie ukrywana, ale coraz bardziej narastająca złość. Wyglądało na to, że znienawidził wszystkich: miejscowych, przyjezdnych. i chyba samego siebie.

Wtedy też dopadło go kolejne szaleństwo, najbardziej nieoczekiwane i niezrozumiałe – Petros zaczął gromadzić gazety. Zbierał wszystko, od lokalnych dzienników przez kolorowe tygodniki, po opasłe, sztywne miesięczniki; zaprenumerował nawet kilkanaście zagranicznych czasopism, które przychodziły co miesiąc w szczelnie zapakowanych folią paczkach – wrzucał je ukradkiem do ciężarówki i woził ze sobą jak najcenniejsze skarby. i czytał. Coraz więcej czytał.

Z czasem, kiedy nowy obłąd zawładnął nim całkowicie, jakby chcąc ukryć go przed ludźmi, zaczął

zwozić gazety do Taniego, który mieszka nieopodal jego kasztanowców. Wymyślił sobie, że będzie go uczyć „żeby chłopak wreszcie przestał się włóczyć i zamęczać ludzi swoimi bełkotliwymi krzykami”. Kupił mu nawet kilka zeszytów, które nigdy niezapisane, szybko wyblakły i Tani zaczepiał kartki na krzewach, żeby płoszyły ptaki. Ale Petros zdawał się tego nie zauważać. Siedział całymi dniami wśród stosów zadrukowanego papieru i cały świat przestawał dla niego istnieć.

Krąży wśród kasztanowców, przechodzi od drzewa do drzewa i długą tyczką potrząsa gałęzie, sprawdzając, czy któraś nie jest uszkodzona. Resztki deszczu spadają mu na twarz. Ociera je mankietem i klnie, raz i drugi, jakby chciał sprawdzić, czy słowa nabrały odpowiedniego ciężaru.

Dociera do krańca gaju, opiera narzędzie o kamienny murek i przeskakuje na drugą stronę. Okiennice w domu Taniego są zamknięte. Na tarasie walają się nasiąknięte deszczówką liście, na marmurowym blacie stolika błyszczy kałuża wody. Petros podnosi przewrócone przez wicher krzesło, siada

na nim i bierze głęboki oddech. Księżyc nadal świeci intensywnie, rzucając metaliczny blask na jego wilgotne czoło. Świt nadejdzie za kilka kwadransów, słońce szybko wysuszy pobojowisko po nawałnicy. Zanim to nastąpi, Petros będzie odpoczywał z nogami wspartymi o doniczki z bazylią, słuchając rozrzedzonych wilgocią dźwięków schyłku nocy. Na jakiś czas zawisnie gdzieś na granicy snu i jawy, gdzieś między doliną a resztą świata.

DZIEŃ DRUGI

SÓL

Budzi się. w autobusie brakuje powietrza. Słońce świeci prosto w jej lewy policzek. Czuje, jak spod włosów wypływa kropla potu, ale nie ma siły jej wytrzeć. Jest zupełnie obezwładniona duchotą i oślepią światłem.

W nocy nie zmrzyła oka. Kręciła się na fotelu, obniżając oparcie, podkładała pod głowę zwinięty sweter.

Wszystko na próżno. Jej sąsiadka pogryzała bez przerwy solone orzeszki – sól była na fotelach, na zasłonce okna, na szybie, na książce, która leżała wciśnięta między siedzenia, na podłodze i nawet w powietrzu. Sąsiadka solila wszystko wokół siebie. Była na nią zła i miała ochotę splunąć prosto w jej torbę z orzeszkami. Przez tę sól nie mogła spać, a teraz jest kompletnie skonana i nie potrafi skupić się na oglądaniu widoków.

Krótkowłosa pilotka próbuje być zabawna i pożyteczna, ale zupełnie jej to nie wychodzi. Stoi w przejściu między rzędami foteli, przytyka mikrofon do brody i monotonicznie recytuje:

– Tutaj właśnie, na nizinie rozciągniętej między Karpatami Południowymi a dolnym Dunajem, w połowie czternastego wieku powstało niezależne państwo, którego burzliwa historia nierozłącznie związana jest z barwnymi legendami, będącymi inspiracją dla wszystkich, którzy cenią tajemniczość i grozę. Ta najbardziej popularna wiąże się z historyczną postacią Włada III, który po ojcu odziedziczył nie tylko królestwo, ale i budzący powszechny strach przydomek,

Drakula, czyli „syn Diabła”. Nie mniej straszliwe miano nadano mu za sprawą nieprawdopodobnego okrucieństwa, z jakim traktował swoich przeciwników. Brzmiało ono – Palownik. Legenda głosi, że Wład Palownik osobiście torturował swoje ofiary, nie tylko nadziewał ludzi na pal, ale odcinał im głowy, gotował żywcem i pił krew niemowląt.

Ludzie wiercą się. Komentują, chcą być zabawni, ale ich dowcipy są ciężkie i wulgarne. Pilotka najwyraźniej udaje, że nic nie słyszy. Trzepocze długimi rzęsami i uśmiecha się nienaturalnie.

„Chyba wycięła ten uśmiech z tygodnika. Ma doklejane paznokcie i doklejane usta”.

Próbuje się rozluźnić, masuje sobie łydki, wciskając się w przestrzeń między fotelami, zdejmując pantofle, zaraz zakłada je z powrotem, potem stara się zrobić niewielki skłon, ale uderza łokciem w poręcz i daje za wygraną. Wtula się w fotel i przymyka powieki.

Z tyłu jakiś mężczyzna zamęcza swoją gadaniną milczącego sąsiada. Dźwięk jego lekko zachrypniętego barytonu faluje ponad monotonnym pomrukiem silnika:

– Nie, wcale się nie bałem, ani przez chwilę, nawet jak grozili mi, że skują mi pysk. Byłem dziwnie opanowany, nieobecny, ani przez chwilę nie czułem się ofiarą, chyba dlatego, że po prostu nie czułem strachu. Dziwne. Najbardziej ciekawiło mnie, co myślą ci po drugiej stronie biurka. Te ich metody: biurko, krzesło...

– i lampa – głos sąsiada jest wyższy, kąśliwy, ale ożywczy.

– Lampa – baryton na chwilę przerywa, ale szybko wraca do porzuconej melodii. – Zaraz po tym, no, jak nas tylko wypuścili, stanąłem na chodniku, patrzyłem na ulicę, na ludzi i zadawałem sobie pytanie, o co w tym wszystkim chodzi? o ściśnięte gardło, spocone dłonie, kołające serce? To wydawało się nie do zniesienia, ale raz-dwa i było po wszystkim. Więc co? Koszmary, które zatrują mi resztę życia? Bzdura. Co pamiętam? Drewniane krzesło i lampę, jakiś wyświechtany kadr, który równie dobrze mogłem widzieć w jakimś filmie. To nie jest moje wspomnienie, tylko gotowy obraz, który mechanicznie wlał mi do głowy. a gdzie podział się strach?

– Mówisz o obronnej selektywności pamięci.

– Obronna selektywność pamięci? Wyobrażasz sobie ludzki umysł jak zbiornik na brudną wodę, na którym ktoś założył filtry? Wycieka tylko to, co bezpieczne dla zdrowia? To byłoby za proste. No przecież, jedziemy sobie wygodnie autobusikiem, oglądamy widoczki za oknem, pilotka rzuca hasło „Drakula”, a my od razu odpowiadamy: „wampir”, „pal”, „krew”. To działa jak automat do wydawania biletów. Wrzucasz monety i masz. Pytanie brzmi, czy maszynka potrafi wydać resztę?

Barbara słyszy teraz wyraźnie, że baryton nie wymawia „r”. w jego miejsce wydobywa mu się z gardła chrapliwy, drażniący dźwięk. – Reszta – mówi cicho kilka razy, próbując wydobyć podobny ton. Chciałaby przestać słuchać, ale baryton najwyraźniej rozgrzewa się swymi wywodami, mówi coraz głośniejsze i szybciej, jakby nie obchodziło go nic oprócz podziwiania własnego głosu:

– Piętnasty wiek. Jak oni się wtedy rodzili? Chłopki wyrzucały płód wprost na siano, bez żadnych medycznych ceremonii, które dziś wydają się niezbędne. Poród był dla nich drobnym zdarzeniem, chyba mniej

ważnym niż udane żniwa. Dla takich ludzi nadziewanie na pal nie było zwyrodniałym bestialstwem, tylko uzasadnioną i technicznie sprawną metodą egzekucji. w sumie ten nieszczęsny Drakula miał zwyczajnie pecha. Gdyby był szeregowym żołdakiem albo zawodowym katem, nie byłoby tej całej paplaniny o jego okrucieństwie. Sposoby zabijania mogą mieć różne formy, wszystko zależy od pomysłowości i potrzeb, formy zmieniają się, a w środku wije się zawsze ludzkie mięso i zawsze tak samo dyszy, napina się i poci w przekonaniu, że paraliżuje je strach. Tamto mija jak czkawka i nadciąga ten prawdziwy strach, który umysł każdej ofiary wprowadza w zubożenie. i wszystko wraca do równowagi.

Barbara ma ochotę mu przerwać, odwrócić się i zapytać: „Kto dał ci prawo tak mówić?”, ale nie ma odwagi spojrzeć w twarze tamtych dwóch. Wydają się jej zupełnie obcy, a cała ich rozmowa przypomina nudną lekcję. Postanawia przeżyć ją, jak przeżyła wszystkie, bez pytań, bez refleksji. Ma wszystkiego dość, do tego musi pójść do toalety, przeciskać między gąszczem

wyciągniętych nóg i przyczepionych do poręczy torebek z odpadkami. Jest duszno, coraz bardziej duszno.

– Równowaga, równowaga – powtarza szeptem.

„Równowaga. To nie ma najmniejszego sensu. Ta podróż powinna już się skończyć, niech się skończy gdziekolwiek, byle skończyła się jak najszybciej”.

OSY

Jest południe. Słoneczne promienie pionowo wbijają się w grunt i wysuszają resztki wilgoci, które osiadły pod załomami skał. Od czasu do czasu wyskakuje spod nich szara jaszczurka, drepcze oślepiona i chowa się ponownie.

Petros siedzi nad swoimi gazetami. Głowę przykrył słomkowym kapeluszem, przerzuca stronę po stronie i co jakiś czas spogląda na Taniego, który majstruje przy motorze.

– Nieszczęśnik – mówi pod nosem. – Nie ma pojęcia, co robi. Jeszcze chwila, a rozmontuje całą maszynę i będzie się dziwił do wieczora, że nie działa.

a jutro zacznie od początku. – Zostaw to! – krzyczy i ciska w kierunku chłopaka kamykiem.

Tani odwraca się, podnosi go i odrzuca w stronę kasztanowców.

Gdy Petros zaczął uczyć Taniego, ludzie we wsi ucieszyli się, że nie będą musieli oglądać jego skwaszonej miny. Mniej Petrosa, mniej smutku w dolinie. Jednak rychło zaczęło im brakować chłopaka. Tani, zajęty nauką, coraz rzadziej objeżdżał okolicę na swym terkoczącym motocyklu. Przedtem robił to do znudzenia. Nie było dnia, żeby nie spenetrował wszystkich plaż w okolicy, często kręcił się wokół źródła, zaczepiając turystów, dla których podobnie jak ono był miejscową osobliwością. Widywano go i w cukierni, i w sklepie, a wieczorami przesiadywał w którejś z knajp, pił piwo i pohukiwał na przejeżdżające samochody. Wszędzie go było pełno. Toteż kiedy ludzie prawie przestali go widywać, ogarnęła ich dziwna tęsknota, a senna cisza popołudnia stawała się nie do zniesienia. Aby ją zagłuszyć, starali się jakoś zatrzymać chłopaka: prosili go o przewiezienie zakupów, o pomoc

w ogrodzie, zapraszali na posiłek. Robili wszystko, żeby był blisko.

Dużo zmieniło się, gdy Aleksji zainstalował w klubie sprzęt nagłaśniający. Chłopak dostał stałe zajęcie – jeździł po wsi i rozklejał plakaty z zaproszeniami na zabawę albo występ muzyków. Praca spodobała mu się na tyle, że urządzał coraz dłuższe rajdy po okolicy i prawie nie bywał u siebie.

Między Aleksjkiem i Petrosiem doszło do otwartej wojny. Już wcześniej Aleksjiek rozpowiadał, że Petros wykorzystuje chłopaka do pielęgnowania swoich kasztanowców. w odwecie Petros odpłacał mu zjadliwymi plotkami o pijaństwach i obscenicznych tańcach, które podobno odbywały się w klubie. Wieszczył przy byle okazji, że nocna działalność Aleksjika doprowadzi wieś do zguby, że klub jest siedzibą wszelkiego plugastwa, jakie może pojawić się na tym świecie. Nikt nie traktował tego poważnie, Petros zawsze przesadzał. Przecież sam pomysł, żeby uczyć Taniego, to dziwactwo. Bo jakież z Petrosa może być nauczyciel?

Siedzą obok siebie. Mało pilny uczeń i kiepski nauczyciel. Obaj zwróceni twarzą ku dolinie, prawie nieruchomi. Gazety szeleszczą na wietrze, Tani ustawił na nich filiżanki. Kawa dawno wystygła, ale nie zmoczyli nawet ust. Jakby wystarczył im wiatr.

– Napisali, że mają specjalne miejsca dla VIP-ów. Wiesz, co to znaczy? Very Important Person. Bardzo ważna osoba. Specjalne miejsca, żeby lepiej widzieli mecz. Co mnie to obchodzi, kto ma więcej pieniędzy albo władzy? Zawsze jest ktoś, kto ma jeszcze więcej, ale wszyscy mają takie same oczy i takie same tyłki. Powinni siadać koło siebie. a jeśli nie chcą, niech idą do diabła.

Petros sięga po kolejny plik gazet i rzuca je na stolik. Tani pokazuje na fotografię kobiety na pierwszej stronie i potrząsa ramionami.

– a skąd mam wiedzieć? Pewnie jakaś aktorka. Podoba ci się?

Chłopak potakuje. Przeciąga gazetę do siebie, ale Petros nie pozwala.

– Co ci chodzi po głowie? Te z fotografii są jeszcze gorsze niż żywe. Jeszcze wkręci ci się taka, gdzie

nie trzeba. Lepiej zobacz to. To jest w Ameryce. Wyhodowali nowe osy. Nie mają żadeł. Można je łapać gołymi rękami, jak muchy.

Powiedział „jak muchy”. Powiedział trzy razy. Niby do Taniego, ale znowu patrzył w dal. Może tęskni do świata, w którym osy nie żądają, latają radośnie w kasztanowym gaju, pośrodku którego wybija źródło z uzdrawiającą wszystkie choroby wodą?

– Słuchaj! Dziś po południu przyjadą nowi turyści. Muszę pojechać do siebie wcześniej. Przyrowadź motor! Naprawimy go.

Biorą się do pracy. Petros odkręca śruby, wyciąga zepsute koło i zdejmuje z niego oponę. Widać, że zna się na robocie, rzuca w kierunku Taniego krótkie komendy, narzędzia wędrują z rąk do rąk – nowa dętka, opona, śruby... i motocykl stoi gotowy do drogi.

– Startuj, podregulujemy go! – rozkazuje.

Tani kopie w dźwignię, silnik zaczyna pracować na jałowym biegu. Petros podkręca gaz.

– Jest w porządku – stwierdza – ale go oszczędzaj. Jak będziesz jeździł tak ostro na podjazdach, to go w końcu zatrziesz. Rozumiesz?

Podnosi się z kolan i patrzy na swoje powalane smarem palce, tak jakby nie poznawał ich kształtu. Trwa to tylko chwilę, ale Tani zauważa jego gest i klepie go w prawą dłoń.

– Nie dziękuj. Nie musisz.

Petros nie jest zły. Gdyby nie jego dziwaczne pomysły, mógłby uchodzić za rozsądnego człowieka – jest zaradny, umie robić interesy, rozmawiać z turystami, nawet z Aleksijem w jakiś niepojęty sposób potrafi zawrzeć chwilowy pokój. Praktyczny człowiek. Trudno pojąć, dlaczego ten praktyczny człowiek tak bardzo dba, żeby nikt nie wchodził mu w drogę? Jak go zrozumieć? Jak pojąć kogoś, kto zdaje się nie rozumieć samego siebie, człowieka, który chowa się na długie godziny w górach, a potem wyskakuje znienacka, żeby kasać innych kolejnym niezrozumiałym czynem?

Tak jest od wielu lat. Ludzie w dolinie cierpliwie znoszą wybryki przyjezdnych. Przyzwyczaili się do nocnego poszumu wielojęzycznej ciżby, do jej obcego zapachu; są skłonni tolerować głośne kłótnie skłóconych par, pijaństwo na plaży, obraźliwe gesty i nawet

niezapłacone rachunki. Lecz z Petrosem to inna sprawa. On jest stąd i ściąga nad dolinę chmury niepewności. Jest jak letnia burza, tak samo nieprzewidywalny i gwałtowny. Budzi lęk, a przed lękiem ludzie zwykle ratują się mało sensowną gadatliwością.

Kiedys zdarzyło się, że spotkano go w miasteczku, jak włóczył się po bazarze i kupował hurtowo meble, damską odzież i biżuterię. – To podarunki – miał powiedzieć. Skłamał. Kilka tygodni wcześniej jego starsza córka uciekła z domu z obwoźnym handlarzem, młodym Cyganem, który krążył po wsiach, sprzedając ludziom garnki, patelnie i kiepskiej jakości bieliznę. Petros kipiał ze złości, a w dolinie huczało od plotek – widziano dziewczynę w porcie, szczęśliwą i uśmiechniętą; donoszono o jej ślubie i o tym, że uciekła od swojego kochanka i postanowiła wyjechać za granicę. Wszystko bajdy. Wyssane z palca banialuki. Jednak Petros nie zamierzał ich dłużej słuchać, zostawił pensjonat i ruszył na poszukiwanie uciekinierki. Nie było go tydzień, potem drugi. Ludzi ponosiła fantazja. Najpierw mówiono, że szykuje krwawą zemstę, potem że pojechał do stolicy sprzedać „CZERWONĄ WODĘ” i że

nigdy nie wróci, bo skalany został jego honor. Następne bajeczki. Petros nigdzie nie jeździł. Siedział przyczajony w miasteczku i czekał. Słusznie przypuszczał, że cygański handlarz prędzej czy później znowu pojawi się w okolicy, żeby wciskać ludziom swój tandetny towar. I tak też się stało. Dopadł go któregoś wieczora w knajpie przy kolacji, ale Cygan siedział sam. Na nic zdały się groźby – domokrażca wypierał się znajomości z córką Petrosa, kpił sobie z niego w żywe oczy. I podobno, jeśli dać wiarę kolejnym plotkom, ugiął się dopiero, gdy zobaczył na policzkach Petrosa łzy. Zlitował się i zaproponował układ: towar za towar. Tak Petros trafił na bazar. Kupił wszystko, czego zażądał porywacz. Rodzina handlarza załadowała towary na samochody i odjechali szukać szczęścia poza doliną, a skruszona dziewczyna wróciła do domu.

Zaraz po tym Petros zamknął pensjonat na cały sezon. Sadził przed „CZERWONĄ WODĄ” kasztanowce. Dzień po dniu zwoził z gór co dorodniejsze sztuki i czekał uparcie, aż któraś się przyjmie. Zmarnował w ten sposób wiele drzew, ale nie dał za wygraną, póki nie odgrodził pensjonatu gęstą,

kasztanową palisadą. Schował się za nią i ogłosił, że nie będzie wpuszczał do siebie nikogo poza turystami. – Moimi turystami – powiedział.

Spis treści

DZIEŃ PIERWSZY	5
TANI	5
CIENIE	6
KOLCZYK	8
KSIĘŻYC	12
DZIEŃ DRUGI	20
SÓL	20
OSY	26
BLUSZCZ	34
DZIEŃ TRZECI	39
KROPLA	39
SŁODYCZ	48
PASJANS	50
URWISKO	55
DZIEŃ CZWARTY	62
HORYZONT	62
ŚNIADANIE	68
MUSZLA	74
DZIEŃ PIĄTY	85
SCENA	85
PYŁ	90
MOST	98

REJS	103
DZIEŃ SZÓSTY	107
ZAKRĘT	107
RUINY	113
ZAKUPY	120
DZIEŃ SIÓDMY	126
BIŻUTERIA	126
ONA	130
WILGOĆ	136
OCZY	140
DZIEŃ ÓSMY	148
OKNO	148
ŚLAD	150
TURYSĆCI	151
POCZTÓWKA	153
PIOSENKI	161
DZIEŃ DZIEWIĄTY	168
PLAKATY	168
TAJEMNICA	170
DZIEŃ DZIESIĄTY	188
PLUSK	188
BÓL	190
SPACER	196
KONCERT	199

DZIEŃ JEDENASTY	206
OGIEŃ	207
DLA TANIEGO	212
ŁZY	213
DZIEŃ DWUNASTY	223
LOTNISKO	223
PETROS	227
CISZA	231
POCAŁUNKI	237
DZIEŃ TRZYNASTY	242
KIM JESTEŚ?	242

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego
wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy
kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

